Dzisiejszy numer zawiera 6 stron
OPŁATA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM

OSTATNIE WIADOMOŚCI KRAKOWSKIE

KUPON PREMJOWY 16. IV. 34

Prenumerata miesięczna zł. 2·50 z odbiorem w administracji

10 gr.

Rok IV. Kraków, poniedziałek 16 kwietnia 1934 Nr. 104

Dekret o wstrzymaniu eksmisyj ukazał się!

W ostatnim numerze Dziennika Ustaw ogłoszone zostało rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z mocą ustawy z dn. 13 kwietnia r. b. o zmianie moratorjum mieszkaniowego dla bezrobotnych. Rozporządzenie to wzorem lat ubiegłych, wprowadza do dn. 31 października r. b. ochronę przed eksmisją mieszkań jedno i dwuizbowych, zajmowanych przez bezrobotnych.

Jak wiadomo, w okresie od 1 listopada do 31 marca każdego roku bezrobotni, zajmujący mieszkania jedno i dwuizbowe, są chronieni przed eksmisjami z mocy art. 23 ustawy o ochronie lokatorów.

Usunięcie Francuza dyrektora z Żyrardowa

Zapowiedź sensacyjnego procesu

Sekwestratorzy sądowi Żyrardowa usunęli z miejsca generalnego dyrektora Zakładów Żyrardowskich inż. Jana Vermeerscha. Jako powód swej decyzji podali sekwestratorzy okoliczność, iż dyrektor Vermeersch wyjechał bez zezwolenia do Paryża i był przez kilka dni nieobecny w biurze, oraz że został dakooptowany do zarządu Zakładów Żyrardowskich, co uznano za akt nielojalności.

Dyrektor Vermeersch pełnił funkcje generalnego dyrektora Zakładów Żyrardowskich od kilku lat, a kontrakt jego z zarządem fabryki opiewał jeszcze na dalsze 3 lata. Dyrektor Vermeersch występuje ze skargą sądową przeciw sekwestratorom o odszkodowanie za zerwanie kontraktu. Ponieważ pobory miesięczne ryrektora Vermeerscha wynosiły około 4,000 złotych, pretensja o 3-letnie odszkodowanie obraca się około sumy 150.000 złotych!

Dyrektor Vermeersch podnosi skargę, iż zarzut, jakoby jeździł do Paryża, nie odpowiada rzeczywistości, na co przedkłada dowód w postaci paszportu i wiz. Z paszportu wynika, iż dyrektor Vermeersch bawił zagranicą 3 dni w sanatorjum pod Wiedniem. Fakt, iż został dokooptowany do zarządu Zakładów Żyrardowskich nie może być, zdaniem skargi, uważany za akt nielojalności, gdyż zarząd istnieje, chociaż atrybucje jego zostały ograniczone przez sekwestr sądowy.

Równocześnie zarząd Zakładów Żyrardowskich zamierza uczynić sekwestratorów sądowych osobiście odpowiedzialnymi za konsekwencje procesu, wytaczanego przez dyrektora Vermeerscha.

W kołach prawniczych sprawa ta budzi wielkie zainteresowanie, a to z tego względu, iż sad rozstrzygnąć będzie musiał zasadniczą kwestje atrybucji sekwestru sądowego, jako zarządzenia tymczasowego.

Sekwestratorzy sądowi Żyrardowa przybrali nazwę „zarządców sekwestru", a zarząd Zakładów Żyrardowskich nazywają „dawnym zarządem". Tymczasem koła prawnicze twierdzą, iż zarząd Zakładów Żyrardowskich istnieje prawnie nadal, jakkolwiek kompetencje jego zostały ograniczone przez sekwestr sądowy. Decyzja sądu w tej mierze mieć będzie znaczenie zasadnicze.

Z innego źródła dowiadujemy się:

Naczelny dyrektor zakładów żyrardowskich p. Vermeersch i jego sekretarka, francuska, p. Frankowska, zostali wczoraj usunięci z zakładów żyrardowskich. Dymisja jest natychmiastowa i bez odszkodowania, gdyż dopatrzono się w działalności obojga momentów szkodzenia interesom zakładów.

Energiczne posunięcie sekwestratorów sądowych w stosunku do zaufanych urzędników p. Boussaca (p. Frankowska była w swoim czasie jego osobistą sekretarką) stąd pochodzi, że podobno p. Vermeersch wespół z p. Frankowską a bez wiedzy zarządców sądowych zawierali tranzakcje na zakup bawełny i przekazywali do Paryża pieniądze.

Bohaterzy kraju Sowietów

MOSKWA. (P.A.T.). Lotnicy Lapidewski, Lewoniewski, Mołokow, Kamanin, Slepniew, Doronin i Wodopianow, którzy brali udział w akcji ratunkowej rozbitków, zostali nagrodzeni specjalnie ustanowionym na ich cześć tytułem honorowym „Bohaterów kraju Sowietów".

Tytuł ten będzie w przyszłości nadawany, jako najwyższa nagroda, za czyny bohaterskie.

Wspomnianych lotników i towarzyszących im mechaników poza tem odznaczono orderami Lenina. Otrzymali oni nagrody pieniężne w wysokości rocznych poborów. Wszyscy rozbitkowie oraz kierownicy akcją ratunkową Uszakow i Petrow odznaczeni są orderami Czerwonej Gwiazdy oraz otrzymali nagrody pieniężne w wysokości półrocznych poborów.

W Moskwie będzie wzniesiony pomnik ku uczczeniu ekspedycji „Czeluskina".

Kulisy Żyrardowa przed sądem

W procesie o zniesławienie b. inspektorki p. Krachelskiej przez organ łódzkich fabrykantów

Wczoraj w Sądzie Okręgowym w Warszawie toczył się sensacyjny proces o druzgocący artykuł inspektorki pracy, p Krahelskiej p. t. „Nie mogę milczeć". Artykuł zawierał szereg bardzo ciężkich zarzutów pod adresem dyrekcji Żyrardowa i był niejako przypieczętowaniem tego wszystkiego, co o potwornych stosunkach żyrardowskich zeznawali świadkowie w procesie Blachowskiego i cośmy powielokroć opisywali.

Przedstawiała autorka ciężką niedolę robotników, głównie zaś skandaliczne wypadki zatrudniania nieletnich i wyzyskiwania ich w nieludzki sposób.

W odpowiedzi na artykuł b. inspektorki pracy ukazała się w organie fabrykantów łódzkich odpowiedź, w której znalazło się szereg momentów obrażających p. Krahelską.

Zwrotami tych uwag poczuła się dotknięta p. Krahelska i wytoczyła sprawę karną redaktorowi tygodnika p. Zielinie o zniesławienie. Oskarżenie popierał adw. Mieczysław Rudziński, rozprawie przewodniczy sędzia Danielewicz.

Proces zgromadził na sali jedynie publiczność z pośród urzędników Min. Opieki Społecznej, zainteresowanych ze względu na osobę p. Krahelskiej, która zeznawała w sądzie jako świadek.

Zeznania jej, jako i innych osób, były krótkie, lecz rzeczowe.

— Jako inspektorka pracy i opiekunka robotników stykałam się z Żyrardowem. Warunki pracy były złe — mówi p. Krahelska.

Dalsza część zeznań dotyczyła opisów, w jaki sposób i dla jakich celów w Żyrardowie prowadzono t. zwaną politykę „odmładzania".

— Redukowano starych i wykwalifikowanych robotników, a na ich miejsce przyjmowano młodzież poniżej lat 17. Robiono to pod pozorem nauki, ale tych młodocianych, uczniów i terminatorów, nie zgłaszano do ubezpieczenia, przeznaczając im groszowe zarobki pod pozorem, że dostają fachowe wykształcenie.

Zeznania p. Krahelskiej wywołały duże wrażenie, zwłaszcza, że z całym naciskiem podkreśliła, iż w wystąpieniu swem nie kierowała się pobudkami osobistemi, a chęcią polepszenia warunków pracy młodzieży.

Inspektorka Pracy, p. Miedzińska, posługując się licznemi notatkami cyfrowemi, wskazywała na szalony wyzysk młodocianych robotników, stosowanych przez Zakłady Żyrardowskie.

Najciekawiej wypadły cyfry porównawcze. Gdy w innych fabrykach młodociany mógł zarobić 20 zł. tygodniowo, w Żyrardowie dostawał 2.50 gr. tygodniowo, przytem posługiwano się potwornemi metodami. Gdy młodociany osiągał wyższe zarobki wskutek wyspecjalizowania w danej gałęzi pracy, przenoszono go do innej gałęzi pracy, gdzie dostawał najniższe stawki.

Taki kołowrotek trwał w ciągu kilku lat. Wybijający się młodociani spadali zpowrotem do najniższej normy.

Podczas inspekcji dokonywanej przez władze, robotnicy obawiali się wnosić skargi na Dyrekcje i żądali omówienia bolączek na innym, neutralnym terenie, bo w Żyrardowie ściany mają uszy.

Zkolei przesłuchano świadków, którzy wydali opinję p. Krahelskiej.

B. min. Pracy Jurkiewicz stwierdził, że była ona nietylko wzorem sumiennego urzędnika, ale i człowiekiem, wkładającym wiele serca w swoje czynności zawodowe.

— Do Ministerstwa często dochodziły wiadomości, że sytuacja robotników w Żyrardowie stale się pogarsza — mówił p. Jurkiewicz. — Pod płaszczykiem reorganizacji produkcji chciano wyrzucić na bruk 2000 ludzi. Zresztą były i inne zatargi na tle przepłacania za surowiec, dostarczany przez możnych akcjonarjuszów. Straty te chciano powetować na obniżce zarobków robotniczych, co wywołało niezadowolenie i ferment. Wkońcu Żyrardów stawał się podatnym gruntem dla wywrotowej agitacji.

Jako dalsi świadkowie figurowała: P. Miedzińska, p. Waśkiewicz, b. dyrektor Żyrardowa.

Ze strony Czechów brak dobrej woli

Konflikt polsko - czeski, który doznał zaostrzenia wskutek odmowy wyjazdu polskiej reprezentacji piłkarskiej do Pragi, jest tematem rozważań prasy zagranicznej, w pierwszym rzędzie niemieckiej, węgierskiej, litewskiej i austrjackiej. Prasa wroga Czechosłowacji, a więc niemiecka i węgierska, korzystają z okazji, by załatwić i swoje porachunki z rządem praskim. Przytem komentarze prasowe odbiegają daleko od tego, co się w Polsce o tej sprawie myśli.

Na marginesie tego konfliktu trzeba podnieść iż wbrew oczekiwaniom, nie widać ze strony Czechosłowacji dobrej woli w kierunku zlikwidowania zatargu. Rząd polski predstawił jasno swój punkt widzenia, ale rząd praski, niestety, nie zdradza ochoty do rozmów. A szkoda! Wskazywaliśmy już, że zlikwidowanie zatargu polsko-czeskiego leży bezwzględnie w interesie obu państw. Zaognione stosunki są jedynie na rękę wrogom wspólnym, albo poszczególnych państw. Każdy przytem myśli, że coś na tym konflikcie zarobi. W tych warunkach upór Czechosłowacji jest niezrozumiały. Powtarzamy: Jest znacznie więcej spraw, które oba państwa łączą, aniżeli dzielą, to samo powinno już być wystarczającem dla załatwienia spraw spornych.

Walka religijna w Niemczech zaostrza się

600 pastorów chce przejść na katolizm

Pisma szwajcarskie i angielskie przynoszą wiadomości z Niemiec, z których wynika, że wojna religijna przybrała niesłychanie ostry charakter. Hitleryzm, usiłujący wszystkiemi środkami zgnębić oba wyznania chrześcijańskie: katolicyzm i ewangelicyzm, propagując i popierając równocześnie germański poganizm, napotyka na niesłychanie silny opór ze strony kleru obu wyznań i wiernych.

Kościół katolicki dzięki swojej organizacji jest znacznie bardziej odporny. Nie podlega władzy państwowej, natomiast kościół ewangelicki jest organizacyjnie związany z władzami państwowemi. Dzięki temu ataki na ten kościół były w efekcie znacznie mocniejsze, wpływ państwa mógł wiele zdziałać.

Narzucony przez rząd biskup Rzeszy Miller tępi wprawdzie opozycję kościelną, zwalnia biskupów i pastorów, ale ci nie uznają otwarcie jego zarządzeń. Wygłaszają kazania, skierowane przeciwko niemu i jego polityce kościelnej.

Ewangielicy, czując, że kościół ich jest zależny od państwa, masowo przygotowują się do przejścia na łono kościoła katolickiego.

Jeden ze znanych teologów, prof. Thieme, a wraz z nim 600 pastorów, wystosowało odpowiedni list do Papieża. Rokowania w tej sprawie są w toku.

Rosenberg, stojący na czele „pogańskiego" germańskiego ruchu zaatakował silnie biskupów katolickich z okazji ich kazań i wygłosił pod ich adresem niedwuznaczne pogróżki.

O prześladowaniach i szykanowaniach duchownych pisaliśmy już poprzednio. Obecnie również oficjalne stosunki z Watykanem pogorszyły się znacznie. Konkordat nie dochodzi do skutku. Wicekanclerz Papen, który przyjechał specjalnie do Rzymu nie został przez Papieża przyjęty.

W związku z tem rozeszły się nawet pogłoski o zerwaniu stosunków między Stolicą Apostolską a Rzeszą. Tego rodzaju wiadomości są conajmniej przedwczesne. Faktem jednak jest, że walka przeciw doktrynom hitleryzmu na odcinku religijnym rozgorzała.

Miljoner-oszust w drodze do Ameryki

Pilnują go żeby się nie otruł

SMYRNA. (PAT). Parowiec „Exilona" na pokładzie którego znajduje się Samuel Insull opuścił port udając się do Stanów Zjednoczonych. Pierwszym etapem podróży będzie Catania na Sycylii.

Na statku Insulla poddano bardzo szczegółowej rewizji osobistej, zabierając mu wszystko, czem mógłby się zranić. Kapitan parowca i wicekonsul amerykański w Smyrnie Berry będą na zmianę czuwali nad Insullem podczas całej podróży, która będzie trwała prawie miesiąc.

Osiedle stołecznej nędzy

Co stanie się z armją głodnych i bezrobotnych?

(B. J.) O nędzy stołecznej mówi się na każdym kroku, pisze się o niej wiele ale, żeby móc ją sobie wyobrazić, trzeba zetknąć się bezpośrednio ze światem ludzi, skazanych na głód i nędze.

Wkraczamy na teren baraków dla bezdomnych na Annopolu. Na obszernej pustyni, wśród piasków rozłożyła się tu tal zdala od osiedlisk stołecznych — miasto nędzy — Annopol. Niskie drewniane baraki wyglądają z zewnątrz dość czysto i schludnie. Białe firaneczki w oknach, doniczki z kwiatami— nie wygląda to wszystko na skrajną nędze...

— Tu mieszkają tacy, którzy mają zatrudnienie — wyprowadza mnie z błędu trzęsący się i obdarty staruszek. — Nasze baraki są tam, zdaleka od szosy.

Istotnie! Tam się zaczyna właściwy Annopol. Pod brudnemi barakami gromadki wynędzniałej dzieciarni. Bawi się w piasku, nieświadoma swej nędzy. Wpływ otoczenia uwidacznia się natychmiast, 4-letni chłopak, niezadowolony z towarzysza swego w wieku lat 5, odzywa się:

— Józiek! Ty taki owaki simu, pójdziesz do chojeji?..

Zaciekawia nas kwestja pomieszczeń, przydzielanych przez Opiekę Społeczną bezdomnej ludności stolicy.

— Pan mieszka w tym baraku?

— Tak — informuje nas mieszkaniec Annopola.

— Jedną izbę pan zajmuje?

— Trzy rodziny zajmują jedną izbę. Nie do wytrzymania tu taj, proszę pana.

Przez otwarte drzwi uderza nas jakiś straszny zaduch. Co się tutaj właściwie dzieje? Mała izdebka cała załadowana łóżkami i siennikami. W maleńkim kąciku przy oknie stos słomy, a przy nim młody mężczyzna. Wyrabia słomianki i z tej pracy utrzymuje przy życiu rodzinę. Izba o powierzchni 4×4 mtr.

— Ile tu osób mieszka?

— Trzy rodziny — dwanaście osób!

— Jak państwo godzicie się ze sobą?

— U nas to jakoś spokojnie idzie. Podzieliliśmy izbę na trzy części i każdy rządzi się w swoim „rejonie". Ale żeby pan przyjrzał się kiedy w niedzielę, co się dzieje w sąsiednim baraku! Mieszka tam 19 osób w jednej izbie. Na niedzielę każda rodzina postara się zwykle o butelkę wódki i rozpoczyna się ogólna uczta. Wszystko dobrze jest, do chwili, dopóki kobiety nie zaczną sobie wypominać wzajemnych pretensyj. Wtedy zaczyna się bójka, awantura i wreszcie przy pomocy policji, część lokatorów kładzie się spać, część odchodzi do komisarjatu.

Istnieje tu duża liczba rodzin, zajmujących samotnie izbę, ale i ta uciecha trwać będzie prawdopodobnie krótko, bo liczba bezdomnych wzrasta z dnia na dzień i Opieka Społeczna z braku pomieszczeń, pcha bezdomnych, gdzie się tylko da. Rodzina do rodziny, ile się tylko da pomieścić.

Wszystkie lokale są tutaj płatne. Cena przeciętna waha się w granicach od 10 do 20 złotych. Bezrobotni wciągani są na listy dłużników i w wypadku otrzymania pracy zaległość mieszkaniowa potrącana im będzie z zarobków.

Jest akurat południe. Ze wszystkich baraków ściągają do kuchni rzesze kobiet i mężczyzn, z garnuszkami i koszyczkami w ręku.

Wszyscy bezdomni żywią się przeważnie „zupką", wydawaną w kuchniach ogólnych i w kuchniach dla dzieci. Naogół istnieje stan taki, że ojciec oczekuje na „zupkę" swoich dzieci, aby kosztem ich żołądka utrzymać się przy życiu.

„Zupki" wydawane są również „na rachunek". Za jedną porcję zupy — pracuje się 1 dzień w tygodniu. Właśnie przy kuchni idzie na ten temat rozmowa:

— Jabym wolał, żeby zamiast tych pomyjek, dali mi cztery dni w miesiącu roboty i wypłacili po 4 złote. Za szesnaście złotych, żyłbym lepiej niż z tej darowizny.

Zaciekawia mnie pewien obrazek. Obok kuchni, zdaleka od ogonka stoją cztery ładne dziewczęta. Ubrane są dostatnio, w ładnych pantofelkach, w jedwabnych pończoszkach!.. Usta umalowane, brwi podczernione. Ta gromadka dziewcząt znalazła już rozwiązanie bezrobocia i nędzy. Stanęły na ulicy, zaofiarowały swe wdzięki, znaleźli się klienci — a dalej poszło już gładko! Na kogo spada odpowiedzialność za te dziewczęta?! Kto ma śmiałość rozprawiać o „zepsuciu moralnem wśród młodzieży"?!

— A co dalej? Co dalej! Co stanie się z nową wciąż wzrastającą armją głodnych i bezdomnych? Co wyrośnie z tego młodego pokolenia, wychowującego się w tak skandalicznych warunkach?

Tragedja rodzinna policjanta

Ogromnie zirytował się policjant, Józef Burzyński, gdy do wiadomości jego doszło o częstych wizytach, składanych żonie swej przez Aleksandra Wyszomirskiego. Będąc u rodziny swej na imieninach, pod wpływem paru kieliszków wypitej wódki, zaczął użalać się głośno zarówno na żonę, jak i Wyszomirskiego, który wykorzystuje każdą sposobność i nachodzi jego dom.

— Na pewno jest teraz u żony — skarżył się, — bo wymówiła się od pójścia na kolację bólem głowy...

— Nieprawda, jesteś za nadto podejrzliwy — mitygowano Burzyńskiego.

Ponieważ upierał się przy swem podejrzeniu, zrobiono zakład i Burzyński wraz z paroma osobami udał się do mieszkania. Na schodach już słychać było odgłosy rozmowy prowadzonej przez mężczyznę i kobietę, co wyprowadziło Burzyńskiego z równowagi.

Wpadł szybko do pokoju i jak przypuszczał, — zastał rzeczywiście żonę siedzącą z Wyszomirskim. Tego było już za wiele. Zażądał od intruza, aby zaraz wyniósł się z mieszkania, dobywając rewolweru. W czasie szamotania się nastąpił strzał i Wyszomirski został zraniony w okolicę skroni.

Sprawcę postrzału oskarżono o usiłowanie zabójstwa. Nie przyznał się do winy, wyjaśniając, że w ostatnich czasach chodził, jak skołowany pod wpływem świadomości, że Wyszomirski pod jego nieobecność często odwiedza żonę, gdzie go rzeczywiście kilkakrotnie zastawał. Zresztą i żona wspominała sama o tych zalotach. Tego wieczora nieco podchmielony, zaczął robić wymówki Wyszomirskiemu, lecz ten udawał głuchego. Musiał więc użyć siły, aby uwolnić dom od nieproszonego gościa. W chwili, kiedy szamocząc się, znaleźli się obaj w drzwiach, rewolwer przypadkowo strzelił, a Wyszomirski draśnięty kulą w policzek, uciekł.

Inaczej zajście przedstawił poszkodowany. Twierdził on mianowicie, że przyszedł do Burzyńskiej za interesem. Wkrótce znalazł się i jej mąż, a nie przywitawszy się z nim wcale, zaczął nerwowo chodzić po pokoju, wreszcie wyszedł do sieni, zamknął drzwi na haczyk, naładował rewolwer i zaczął bić najpierw żonę, a potem uderzył dwukrotnie w głowę Wyszomirskiego. Gdy ten chciał zbiec, schwycił go z tyłu za ramię. Odwróciwszy głowę, Wyszomirski ujrzał wycelowaną do siebie lufę rewolweru. Instynktownie nachylił się więc i zaraz usłyszał strzał. Kula zraniła go w głowę. Po strzale tym upadł na ziemię i zbiegł dopiero po momencie, usłyszawszy drugi strzał. Osmalenie skóry nad brwiami, wskazywało, że strzał był oddany zpobliża i nadzwyczaj niebezpieczny w swych możliwościach.

Sąd Okręgowy, biorąc pod uwagę stan podniecenia Burzyńskiego, gdy uskarżał się rodzinie na żonę za urządzanie w domu schadzek z Wyszomirskim i wyraźnie zapowiedział jej — „Albo on, albo ja" i zaraz zastał gacha w swem mieszkaniu, potraktował całe zdarzenie pobłażliwie, zwłaszcza, że skutki przestępstwa okazały się nikłe dla zdrowia Wyszomirskiego. Policjant skazany został na 8 miesięcy więzienia z zawieszeniem.

Burzyński zaapelował, ponieważ dla policjanta wyrok skazujący choćby na jeden miesiąc, stanowi przekreślenie dalszej karjery. Sprawę rozpatrzono gruntownie jeszcze raz i Sąd Apelacyjny, dając wiarę Burzyńskiemu, że strzał padł całkowicie bez jego winy, wydał wyrok uniewinniający.



ZŁOŻENIE LISTÓW UWIERZYTELNIAJĄCYCH

Onegdaj w południe pierwszy ambasador ZSRR w Polsce p. Dawtjan złożył na Zamku swe listy uwierzytelniające.

Na zdjęciu p. ambasador Dawtjan przed gmachem ambasady przyjmuje raport od dowódcy honorowego szwadronu szwoleżerów, który go eskortować będzie w drodze na Zamek.

RADJO

9.00 Sygnał czasu. 9.05 Gimnastyka. 9.25 Muzyka poranna. 9.40 Muzyka z płyt. 10.00 Muzyka popularna. 10.30 Nabożeństwo z kościoła Św. Krzyża w Warszawie. 11.57 Sygnał czasu. 12.15 Poranek Muzyczny z Filharmonji Warsz. 14.00 „Uwagi o handlu rolniczym". 14.30 Muzyka popularna z płyt. 15.00 Gawęda. 15.20 Koncert. 16.00 Słuchowisko dla dzieci. 16.30 „Kwadrans słynnych artystów". 16.45 „Najpierwsza sztuka kulinarna". 17.15 Transmisja I części koncertu z Prezydjum Rady Ministrów 18.00 Słuchowisko. 18.40 Recital skrzypcowy. 19.30 Radjotygodnik dla młodzieży". 19.52 Koncert muzyki lekkiej. 21.00 „Perły Adrjatyku" 21.15 „Na wesołej lwowskiej fali". 22.15 Wiadomości sportowe. 22.25 Muzyka taneczna z Kaw. Gastronomia. 23.00 Wiadomości meteor. 23.05 d. c. muzyki.

„TE 4" W RADJO

W niedzielę dn. 15.4 o godz. 19.52 w wieczornym koncercie muzyki lekkiej weźmie udział sympatyczny zespół revellersów kobiecych, znanych już dobrze z szeregu występów

Wesoły Kącik

WIERNA ŻONA



Po śmierci męża rozpacz pani Anieli nie miała granic. Przez trzy dni tonęła we łzach i nie dopuszczała do siebie nikogo.

Ale piątego dnia poszła na cmentarz, usiadła nad świeżą mogiłą i szerokim szalem zaczęła wachlować wilgotną jeszcze ziemię mogiły.

Nazajutrz przyszła znowu i znów wachlowała niezmordowanie ziemię, pod którą spoczywał jej ukochany małżonek. Robiła to przez szereg dni następnych.

I nikt nie mógł zrozumieć dziwnego zachowania pani Anieli. Gdy ją pytano, dlaczego wachluje uparcie mogiłę swego męża, opuszczała ze smutkiem głowę i milczała tajemniczo.

Aż wreszcie udało się komuś wciągnąć w rozmowę służącą pani Anieli. Opowiedziała wszystko.

— Wie pan — zaczęła — że moi państwo się bardzo kochali. Gdy pan ciężko zachorował, pani po całych nocach przy nim siedziała i wciąż płakała. Aż łez jej zabrakło.

— Jeżeli umrzesz — mówiła — to popełnię samobójstwo.

— Nie zrobisz tego — powiedział pan. — Prędko się pocieszysz.

— Nie! Nigdy! Jeżeli nawet nie będę miała odwagi skończyć ze sobą, to nigdy już nie wyjdę zamąż. Nigdy żaden mężczyzna się do mnie nie zbliży.

— Nie przyrzekaj — westchnął pan. — Młoda jesteś, a dużo jest pięknych mężczyzn na świecie.

— Najdroższy! — zaklinała się pani. — Widzę, że nie wiesz, jak mocno cię kocham. Wiele czasu upłynie, zanim rana w mem sercu się trochę zabliźni. Jeżeli nawet kiedyś zdecyduję się wyjść zamąż, to za wiele, wiele lat...

— Widzę, że mnie bardzo kochasz — powiedział pan. Ale nie chcę od ciebie poświęceń. O jedno tylko proszę. Przyrzeknij, że nie pozwolisz się zbliżyć do siebie innemu mężczyźnie, zanim świeża ziemia nie wyschnie na mej mogile. Pani przyrzekła. A nazajutrz pan umarł.

Przez trzy dni pani płakała, aż jej popuchły oczy. Więc wezwała do tych oczu doktora. Doktór był młody, przystojny i bardzo długo panią badał. I widocznie pani mu się spodobała, bo nazajutrz dzwonił, że chce znów przyjść.

Ale pani powiedziała, żeby przyszedł dopiero za tydzień.

I teraz lata codzień na cmentarz i wachluje szalem mogiłę męża, żeby wilgotna ziemia na mogile jak najprędzej przeschła.

Napoleon Sądek.

Pożeracz serc kobiecych

Powieść-reportaż z tajników potwornej afery w świecie arystokracji.

STRESZCZENIE

Do tajemniczego Międzynarodowego Biura Informacyjnego, mieszczącego się przy ulicy Marszałkowskiej, którego dyrektorem był Gustaw de Montemort, przybył niezwykłej urody mężczyzna z listem polecającym od paryskiego przyjaciela dyrektora, barona Billera. W liście tym baron niedwuznacznie zwracał uwagę warszawskiego współpracownika firmy na urodę inżyniera Stefana Noderskiego, którą możnaby należycie... wyzyskać! Stefan Noderski został wydalony z Francji wskutek awanturki miłosnej z żoną pewnego dygnitarza.

Gustawowi de Montemort urodziwy nad podziw mężczyzna przypadł do gustu. Powiedział swemu gościowi poprostu: jedynym interesem, który nie doznał uszczerbku w czasach szalejącego kryzysu jest... miłość. Wśród ogólnego ubóstwa w samej Warszawie, są dziesiątki kobiet, opływających w niezmierny dostatek, które, nie licząc się zupełnie z pieniędzmi, szukają tylko rozrywki. Każda z takich gotowa dać każdą sumę za pocałunek ust takiego pięknego mężczyzny, jak Noderski. Zaproponował więc dyrektor Noderskiemu udział w „przedsiębiorstwie" dla wyzyskania miłości i kobiet. Noderski przystał. Zwrócił jednak uwagę dyrektorowi, że na przeszkodzie stoi brak środków.

ROZKWITŁA BLONDYNKA, ŻONA FINANSISTY-ARYSTOKRATY

Gustaw de Montemort nie spuszczał oka z Noderskiego.

— Naturalnie, że w przedsięwzięciu naszem, pan musi mieć należytą oprawę, — mówił, — by podniosła ona jeszcze pana szanse. Przedewszystkiem trzeba, by pan nosił jakiś tytuł... Najlepiej hrabiego. Ach, jak w tej sferze kobiety cenią tytuł!... To nieprawda, że tytuł olśniewa tylko ludzi nic nie znaczących! Biedni nie przywiązują do niego wielkiej wagi. Słowo „hrabia" robi tylko wrażenie na głupców, no i na te sfery, w których będziemy się obracali, w których można być szanowanym, mając pusto w głowie, a nawet niezupełnie czystą hipotekę... sądową!... Mówmy jednak o rzeczy samej... Otóż będzie pan hrabia Noderskim! To bardzo ważne. Można nawet mówić, że tytuł ten pan posiada od czasów Napoleona. Wiadomo powszechnie, że Napoleon miał wiele dzieci i zostawił sporą gromadkę hrabiów, zrodzonych z mniej lub więcej dostojnych swych kochanek. To nie będzie panu w niczem ubliżało!... Przeciwnie! Znałem jednego jegomościa, który usiłował się szczycić, że jest potomkiem słynnej pani Walewskiej i Napoleona, choć w rzeczywistości wcale nim nie był!... Możemy wyszukać dla pana nawet starszy tytuł. To zresztą mniejsza! Dość, że pan jest hrabią i zamówimy panu bilety wizytowe z dziewięciopałkową koroną... Poza tem elegancki apartament... Tem się zajmę już nawet jutro. Nowoczesny, a jednocześnie przytulny, uspasabiający do rozmarzenia... Z mego gabinetu może pan osądzić, panie hrabio, — dyrektor zatoczył łuk ręką, — czy mój gust odpowiada pańskiemu?

Noderski przesunął wzrok śladem ręki, oglądając makaty na ścianach, wspaniałą bibljotekę, zapełnioną grubemi tomiskami ze skórzanemi grzbietami, lśniącemi złotem wytłoczonych nazwisk autorów i tytułów. Ześlizgnął się spojrzeniem po głębokich fotelach, ustawionych pod przepiękną palmą, kozety, stoły, dywany, makaty...

— Gabinet śliczny i kosztowny — powiedział z uznaniem.

— Właśnie! I kosztowny! Trzeba, żeby z prostoty przebijała jednak kosztowność. To bardzo ważne!

— Ale najważniejsze? — zagadnął Noderski.

— Kobiety? — domyślił się Montemort.

— Te właśnie mam na myśli!

— I te zaraz znajdziemy!

Dyrektor otworzył jedną z szuflad biurka i wyjął niewielki, ale pękaty rejestrator. — Tu mam wszystko, co nam potrzeba. Oto mój przewodnik po Warszawie. Mam tu dane o wszystkich najładniejszych kobietach w Warszawie. Niech pan nie sadzi, że jest pan pierwszym i jedynym. W Warszawie pracuję już od pewnego czasu. Mam naprzykład szofera, który pracuje od dwóch lat. Mam i innych i to w różnych sferach. — Dyrektor począł przewracać kartki. Jedne czytał uważniej, inne przerzucał, rzuciwszy na nie zaledwie okiem.

Wreszcie na jednej zatrzymał się. Uderzył ręką po papierze.

— Ot, ta naprzykład! — powiedział. — Na początek będzie najlepsza!... W rękach jej męża skupiły się znaczne ilości akcyj... Należy do wielkiej finansjery i arystokracji jednocześnie. Strona finansowa jest najzupełniej pewna!... A żona? To nas najbardziej w tej chwili ciekawi, prawda?... Nie jest pierwszej młodości... O, ale niech to pana nie zraża!... Może się niejednemu podobać. Nic dziwnego, że nie chce też zrezygnować z życia, choć ma już dorosłą prawie córeczkę. Osiemnastolatka... Proszę, niech pan zobaczy!

Gustaw de Montemort wyjął z koperty fotografję, zdjętą na ulicy. Podając ją Noderskiemu, zauważył:

— Mam swoich specjalnych fotografów, którzy dokonują dyskretnie zdjęć, o wiele lepiej, niż te obecnie liczne biura fotograficzne, polujące na przechodniów, czy tego chcą, czy nie... Właśnie to interesujące zdjęcie dokonał mój fotograf.

Noderski wziął z rąk dyrektora fotografję i przyjrzał się bacznie.

Na zdjęciu z wielkiej długiej limuzyny zdążała kobieta ku magazynowi futer. Odwrócona ku fotografowi śmiejąca się twarz widoczna była wyraźnie. Była to pełna dosyć blondynka, istotnie nieprzeciętnej urody, sprawiająca wrażenie co najwyżej trzydziestoletniej, ubrana z wyszukaną elegancją. Wiatr odchylił nieco jej futro i ukazywał oczom zgrabną łydkę, drobną stopę, obutą w pantofelek aż nazbyt elegancki na zetknięcie się z zabłoconemi płytami ulicznego chodnika.

— Prawda, że nawet warta grzechu?... Sprawa nie jest nawet trudna — ciągnął dalej dyrektor. — Ta kobieta za wszelką cenę nie chce zrezygnować z życia. Chce się bawić, chce przygód, naturalnie dyskretnych, bo o rezygnacji ze stanowiska przy boku męża, który jej zapewnia zbytek i pozycję towarzyską, niema mowy. Trudno jednak w tych warunkach mówić o interesujących przygodach!... Tem bardziej, że mąż nie jest skory do wyjazdów, a świat, który ich otacza, nie jest już dla niej zbyt ciekawy. Miała kilka nic nie znaczących romansików, zawsze w porę przerwanych. Niech się pan jednak dobrze przyjrzy tej kobiecie. Jej wyraz twarzy, jej ruch, uchwycony przypadkowo przez fotografa, świadczą, że drzemią w niej niewyżyte zapasy namiętności. Rozdmuchać je, rozpętać i będzie całkowicie w naszej mocy!...

Dalszy ciąg jutro.

PAMIĘTNIK SŁUŻĄCEJ

SPOWIEDŹ PIĘKNEJ DZIEWCZYNY RZUCONEJ POMIĘDZY BESTJE LUDZKIE

Nie byłem obecny przy scenie powitania pani Toli z mężem. Nie śmiałem mącić tej chwili natrętną obecnością ciekawego dziennikarza. Kiedy jednak nie mogłem siebie przezwyciężyć i wszedłem, ujrzałem obrazek, który... co tu obwijać w bawełnę, rozrzewnił mnie tak, że musiałem nagwałt przetrzeć szkła, których używam.

Pan Jerzy klęczał przed łóżkiem, a jego głowę tuliła do piersi, jak matka, pani Tola!...

Właśnie tak, jak matka...

Trwali bez ruchu.

Stałem dłuższą chwilę, myśląc, że się ockną, zmienią pozycję, w której nogi drętwieją. Nie!

Z oczu pani Toli spływały wolniutko dwa mieniące się w elektrycznem świetle strumyki łez. Spływały na przedwcześnie posiwiałą głowę męża.

Nie wątpię, że były to łzy szczęścia...

Po dłuższej chwili wyszedłem na korytarz, postanowiłem bowiem zaczekać na pana Jerzego.

Długo czekałem, choć na sali interwenjował lekarz i pielęgniarki, zasłaniając się porą, zupełnie nieodpowiednią na wizyty w szpitalu.

Doczekałem się jednak.

Pan Jerzy wyszedł z sali, jakby był nieprzyzwoicie, docna upity. Zaraz za progiem zatoczył się i musiał się oprzeć o ścianę.

Podszedłem do niego.

Spojrzał na mnie oczami, pełnemi łez.

— Odzyskałem ją! Odzyskałem ją! — powiedział i trząsł mi rękę. — Dziś jej nie mogą przenieść do innego pokoju! Jutro z samego rana muszę być przy niej — mówił zdania bez związku. — Chodźmy prędko! Muszę depeszować! Dziękuję panu, dziękuję! — znów potrząsał moją ręką. — Ach, panie, jaki ja jestem szczęśliwy! Bo ona będzie żyła, ona musi żyć!... Sprowadzę najlepszych doktorów!... Zrobię wszystko! Ona będzie żyła!... Nie przeżyłbym teraz jej śmierci — dodał z gorącym błyskiem oczu.

— Narazie wyjdźmy stąd, bo służba szpitalna czuje się obrażona, że o tej porze tak długo...

Dał się prowadzić posłusznie.

Wyszliśmy na ulicę.

Zaprowadziłem go do cukierni, by napił się wody, uspokoił i ochłonął.

Siedząc naprzeciw niego, przyglądałem się pięknym rysom jego twarzy i rozmyślałem o dziwnych kolejach życia ludzkiego.

Chciwie wypił butelkę wody krynicznej, przeciągnął ręką po czole.

— Pan zna całą historję Toli — przemówił napoły do mnie, napoły do siebie. — Do ostatnich dni... Niech mi pan wszystko opowie, wszystko, jak pan to czytał!.. A może pan pozwoli mi przeczytać?...

— Z przyjemnością. Niechże pan jednak najpierw odpocznie, ochłonie. Tymczasem niech pan napisze na kartce treść depeszy, to chłopiec ją nada.

Dzięki sprawnej i uprzejmej obsłudze w kawiarni Europejskiej po chwili leżał przed nim blankiet i pióro.

— Muszę depeszować do pana R. — tłumaczył. — Proszę, żeby przyjechał. Jest teraz w Londynie... „Proszę zabrać Lusinka" — czytał nagłos wypisywane słowa. Z Lusinkiem, żeby przyjechał do Toli...

— Do pana Wacława R.? — zapytałem, wiedząc o niechęci, nurtującej między nimi.

Nie przypuszczałem, by zajęcie się osobą pana Skomorowskiego mogło przekonać całkowicie tego zawziętego, jak myślałem, człowieka do jego byłego rywala.

— Pana to dziwi?... To jest najszlachetniejszy człowiek, jaki istnieje na świecie... Pan zapewne wie, że dzięki niemu otrzymałem doskonałą pracę. Ale niech pan nie przypuszcza, że dlatego właśnie nazywam go najszlachetniejszym człowiekiem pod słońcem. O, nie!... On jest stokroć szlachetniejszy, niż to sobie można wyobrazić!... Przez kilkanaście miesięcy nie pozwoliłem mu nawet wspominać imienia Toli w swojej obecności. Starał się jednak pomówić o niej ze mną. Chciał przekonać mnie o jej niewinności. W ubiegłym miesiącu zachorował i leżał przez kilka tygodni. Ledwie nieco przyszedł do siebie, przyjechał z Francji do Londynu, dokąd go rzekomo wzywały sprawy i znów zaczął mówić. Omal nie doszło między nami do burzliwej sceny. Chciałem wszystko rzucić i jechać do Ameryki, by nie szarpać ciągle świeżych ran.

A jednak dopiął swego.

O tem, że przedtem nie zawinił nic, wiedziałem już. Ale, tak, nie wierzyłem, że z tym zamordowanym hrabią, z tym jakimś panem w Gdyni, że to nieprawda. Przecież dwa wyroki sądowe były wymowne! On jednak wierzył. Zaczął mi tłumaczyć, przekonywać mnie.

Zacząłem się chwiać w swym uporze. Postanowiłem napisać do niej. Wysłałem list, ale okazało się, że przenieśli ją z Fordonu do innego więzienia. Napisałem do Ministerstwa. Czekałem na odpowiedź. I oto niespodziewanie wpadła mi wasza gazeta do ręki, którą mi dała nasza wspólna znajoma, pani H. Dowiedziałem się z niej, że Tola umierająca!... Nie namyślałem się już dłużej. Przyjechałem.

Przyjechałem i zastałem ją w takim stanie!... Jeśli umrze i ja umrę! — powtórzył z głębokiem przekonaniem.

— Niechże pan tego nie mówi! Przecież ciąży na panu obowiązek wychowania dziecka!...

Potrząsnął głową.

— Lusinek jest zabezpieczony. Wychowuje się razem z córeczką pana Wacława. A ja nie mógłbym przeżyć jej śmierci!..

Dokończenie jutro.

PIEKIELNA MOC

Prawdzwe dzieje osób, uwikłanych w sieć szatańskich pokus i zasadzek

STRESZCZENIE

Na południu dawnego zaboru rosyjskiego, przed wybuchem **wojny** postrachem okolicznej ludności był Jur. Olas.

Gdy go powołano do wojska, został wachmistrzem. Odwożąc raport do naczelnika straży granicznej, kapitana Kastalskiego, poznał jego córkę, Danusię, blondynkę niepospolitej urody. Olas zakochał się w Danusi i poprzysiągł sobie, że ją posiądzie.

Nie wiedział **wszakże, że** Danusia **już ma narzeczonego,** Antoniego Elickiego.

Pewnej nocy Jur udał **się** pod domek Kastalskiego **i** ujrzał, **jak** ktoś wychodzi z pokoju Danusi na werandę, **a** stamtąd ześlizguje się nadół. Był to... rotmistrz z jego pułku Jan Poraj-Hebdynski. Basia zwierzyła się Danusi, że łączy ją z rotmistrzem miłość wzajemna i że nawet uległa jego namowom, wierząc przysięgom, że wkrotce już ich ślub pokryje przedwczesne pieszczoty. Nazajutrz z rana Olas, biorąc rotmistrza za kochanka Danusi, rzucił się na niego z widłami.

Sąd skazał go na ciężkie roboty. W sąsiedniej celi siedział skazany za sprzeniewierzenie jego kolega pułkowy, Liszek. Obaj uciekli z więzienia i przedostali się do Krakowa. Znaleźli tam zajęcie u kierownika bandy przemytniczej Medera, który prowadził podwójne życie. Za dnia bowiem był solidnym kupcem o nazwisku Garowicz. Miał dwie córki, z których jedną była... Basia, cioteczna siostra Danusi.

Rotmistrz Hebdyński pojechał do Warszawy, aby tam uzyskać zgodę matki na jego ślub z Basią. Niestety, matka pod żadnym pozorem na to się zgodzić nie chciała.... Tak sprawą pokierowała, że rotmistrza wysłano w daleką podróż, a Basię tymczasem ojciec zabrał do siebie. Wyjechał również Antoni Elicki. I to aż do Afryki, gdzie mu polecono kierownictwo robót przy kopalni brylantów. Tymczasem Olas dochował swej zemsty. Zabił Kastalskiego i skorzystał z samotnego spaceru Danusi, aby ją zmusić przemocą do uległości. Danusia poczuła się matką... Wkrótce urodziło się dziecko, nazwane Felusiem. Danusia z rozpaczy wpadła w obłąkanie. Antoni mimo wszystko zaopiekował się dzieckiem.

Tymczasem Liszek i Olas obrośli w pierze, zdobyli sobie fałszywe dowody osobiste na nazwiska: Stefana Gordyka i Stanisława Rela, stwierdzili, że Meder i Garowicz to ta sama osoba i postanowili na nim wymusić wydanie za nich jego córek Toli i Basi.

Olasowi poszło to gładko, natomiast Basia stanowczo odmówiła swej ręki Gordykowi.

Spotkała się bowiem z Hebdyńskim w Krakowie. W wyniku tego spotkania urodziło się dziecko. Hebdyński zaś musiał iść na wojnę światową. Aby zataić narodziny dziecka, Tola, która właśnie też miała rodzić, zabrała swoją siostrę na wieś, aby obydwa porody odbyły się jednocześnie. Jednak Gordykowi udało się to wyśledzić przez okno...

Gordyk nie mógł wyjść ze zdumienia. Mówił sobie:

— Co? Aż bliźnięta? Ho, ho... Nie miałem, coprawda, złudzeń co do dziewiczości mojej przyszłej, bo wiem, że która raz się dostała do rączek Poraj-Hebdyńskiego, ta już bez dziecka z nich nie wychodziła... Ale żeby aż bliźnięta!.. Ho, ho! Pan pułkownik — dobry pracownik... To jemu będę zawdzięczał tę parkę, którą będę musiał uznać za moje dzieciaki, no bo przecież po ślubie z Basią nie będę każdemu opowiadał, że mnie już ktoś przed ślubem wyręczył i to tak solidnie...

Co rzekłszy, zlazł z drzewa, bo przecież więcej chyba już nic nie miał do oglądania...

10. ZAMIARY STEFANA GORDYKA.

Przez całą noc Gordyk nie zmrużył oka. Tak sobie myślał:

— Sądząc z listu, Hebdyński jest nadal w Basi zakochany po uszy. Po wojnie z pewnością wróci i może będzie chciał się z nią ożenić. Otóż do tego mi nie wolno dopuścić. Co tu robić?

Z rana już miał plan ustalony. Napisał kartkę do Toli i Basi, że odwiedził je wczoraj, nie został wpuszczony, a nie mógł czekać, bo go pilne interesy wzywały zpowrotem do Krakowa. Tymczasem pokryjomu znów wlazł na drzewo i ze swojego punktu obserwacyjnego przyglądał się wszystkiemu. Niestety, nie słyszał ani słowa z rozmowy. Mimo zaś swej ogromnej domyślności i sprytowi nic zdołał nic zrozumieć z tego, co się tam działo.

Basia leżała na łóżku, jak trup. Piastunka i Tola krzątały się dookoła niej troskliwie, ale nie umiały jej ożywić. Gdyby Gordyk mógł słyszeć, wiedziałby, że Tola błagała siostrę:

— Basieńko, zaklinam cię, powiedz mi, co ci dolega...

— Ach, umrzeć... dajcie mi umrzeć... — jęczała Basia, — bo jakże będę żyła teraz, panna z dzieckiem? Przecież to straszna hańba!...

— Nie jest znów tak straszna hańba — pocieszała ją Tola, — skoro Jaś przysiągł, że się z tobą ożeni... Przytrafiło ci się nieszczęście: trudno, to się zdarza, ale przecież, jeżeli kochasz Jasia, to chyba mu ufasz...

— O, tak, kocham go... kocham nad życie... **kocham, choć mnie tak niecnie opuścił.**

— Ależ skąd wiesz, że cię opuścił? Niech tylko ta nieszczęsna wojna się skończy, to wróci... A słychać, że już ma być wkrótce koniec. Porzuć brzydkie myśli. Nie trać nadziei. Skoro Bóg ci go raz zwrócił, to ci go zwróci powtórnie. Zresztą, już choćby dla mnie ni wolno ci umierać. Musisz żyć dla mnie i dla twojej córeczki.

— Niestety, masz słuszność. Muszę żyć dla tego maleństwa, dla tej sierotki bez ojca... Ach, serce mi się kraje na myśl, jakie to będzie życie...

— Co będziemy się martwiły zgóry o przyszłość? Myślmy narazie o teraźniejszości. Jak tu wszystko upozorować przed ojcem?

Tymczasem dzieciaczki w kołysce też zapłakały... I teraz Gordyk, który nic nie wiedział, o czem była mowa, a wszystko widział, — dopiero zdębiał na dobre...

Bo oto Tola szybko podbiegła do kołyski, prędkim ruchem odpięła bluzkę, z pod której wynurzyły się dwie białe kule piersi, nabrzmiałych ciężarem pokarmu, chwyciła oba dzieciaczki, przytknęła jednego do jednej piersi, drugiego — do drugiej i podeszła z niemi do łóżka Basi, mówiąc:

— Nie bój się, Basieńko... Będziesz miała twoją córeczkę zawsze przy sobie.

— Jakto? Nie rozumiem cię...

— To takie proste. Wpadła mi w tej chwili genjalna myśl do głowy. Powie się całemu światu, że mi się urodziły bliźnięta. W ten sposób będziesz miała wciąż twoją córkę przy sobie, tyle tylko, że będziesz ją nazywała swoją siostrzenicą i że ja ci tę córkę wykarmię.

Słysząc słowa siostry, Basia złożyła ręce do Boga w dziękczynnej modlitwie, że natchnął Tolę takim świetnym pomysłem. Płakała teraz może jeszcze bardziej, ale były to już łzy szczęścia. Tak, Tola miała rację. Była ocalona, więcej, niż ocalona, była bardzo szczęśliwa, bo doprawdy trudno było o pomyślniejszy obrót sprawy.

Gordyk, zupełnie już nic nie rozumiejąc, dlaczego się siostry nagle tak ucieszyły, dlaczego jedna rodzi, a druga karmi, panna jest w połogu, a mężatka spaceruje, machnął ręką na wszystko i poszedł do domu.

Uparł się wszakże, aby wszystkiego się dowiedzieć, przychodził więc co wieczór na swój punkt obserwacyjny, ale daremnie. Raz tylko, gdy wietrzono pokój, usłyszał, jak Basia rozpacza, że Hebdyński nie daje znaku życia.

To dziwne. Bo przecież w liście Hebdyńskiego, który Gordyk nosił w kieszeni, on właśnie miał te same pretensje do Basi. Na czemże polegała tajemnica, wskutek której kochankowie nawzajem podejrzewali się o niewierność?

Postanowił to wreszcie wyświetlić i dlatego nazajutrz wprost poszedł do owej chatki, zapytując, czy teraz już może wejść.

Przyjęto go bardzo uprzejmie. Stefan zwrócił się do Toli, mówiąc:

— Szanownej pani, można, zdaje się powinszować? A więc z całego serca...

— Najserdeczniej dziękuję. A ciekawam, czy pan zgadnie, co się urodziło?

— Zaraz. Obliczę według guzików przy kamizelce. To nieomylny sposób. Chłopak, dziewczyna, chłopak, dziewczyna, chłopak, dziewczyna, chłopak...

— E, widzę, że kiepski sposób, bo nie chłopak...

— Nie, proszę pani, sposób dobry, tylko życie starokawalerskie niedobre, bo teraz właśnie widzę, że mi brak jednego guzika przy kamizelce. A więc zgadza się najzupełniej — dziewczynka...

— A właśnie, że się jeszcze nie zgadza — drażniła go wesoło Tola.

— E, kochana pani kpi w żywe oczy z biednego Stefana. Czy to się godzi? Jeżeli nie chłopiec i nie dziewczynka, to co? Cielę o trzech głowach?

— Dwie dziewczynki. .

— Co? Bliźniaczki? — zdziwił się nagle Gordyk, przypominając sobie o Basi.

— Bliźniaczki. Cóż w tem dziwnego? Nie zdarza się? — zapytała Tola.

— Ależ, oczywiście, zdarza się, droga pani — opanował się szybko Gordyk.

Sam zaś sobie pomyślał:

— Już teraz rozumiem. Tola bierze na swój rachunek dziecko Basi. Pyszny pomysł. Z całem uznaniem jestem dla Toli. Prawdę mówią, że gdzie djabeł nie może, tam babę pośle. Jabym mógł przez całe życie myśleć i czegoś podobnego nie wymyśliłbym. Świetnie się składa, bo to jednocześnie w razie czego i mój honor uratowany, gdybym się ożenił z Basią, a zdaje mi się, że teraz już ją mam w ręku.

Na głos zaś rzekł:

— A więc podwójne powinszowania, kochana pani Tolu. Stasiek będzie szczęśliwy. Od takiego przybytku głowa nie zaboli.

Ucałował obie dziecinki i pożegnał się, bo przecież już wszystko wiedział, o co mu chodziło. Pomyślał sobie tylko, że mógł wcześniej już przyjść zamiast sterczeć na drzewie...

A jednak, co znaczy przyzwyczajenie? Skoro już tu był, nie mógł się oprzeć pokusie i znów zajrzał przez okno. Zobaczył tym razem wzruszającą scenę. Basia, zalewała się łzami, przeglądając w małej skrytce pamiątki, widocznie, po Hebdyńskim: dwa - trzy pożółkłe listy i złoty pierścionek, zapewne, zaręczynowy.

Gdy tylko obie panie wróciły do Krakowa, Gordyk... skradł Basi te jej relikwje...

Był już najwyższy czas. Oto, co się bowiem stało...

Poraj-Hebdyński, nie otrzymując ponownie odpowiedzi od Basi, postanowił już tym razem umrzeć bezwzględnie. Dokonywał cudów odwagi podczas tak zwanej „brusiłowskiej“ ofensywy. Jednak posiłki niemieckie poparły armję austrjacką i ofensywa rosyjska załamała się. Hebdyński na czele oddziału osobiście osłaniał odwrót niedobitków armji rosyjskiej. Padł, ranny w pierś... Zabrano go nieprzytomnego do niewoli. Tu szybko wylizał się i wraz ze wszystkiemi jeńcami-Polakami wstąpił do Legjonów. Pisano o tem w gazetach...

Gordyk przeraził się. Lada chwila Hebdyński może wrócić... Postanowił to uprzedzić. Pojechał natychmiast do głównej komendy Legjonów, do której Hebdyński był przydzielony. Gdy go zameldowano, rzekł, że przysyła go jego matka — piastunka, jak się wyraził, „biednej panny Basi“.

„Biednej panny Basi“? Gdy Hebdyński usłyszał te słowa, włosy zjeżyły mu się na głowie. Cóż to usłyszy z ust tego wysłannika?

Gordyk tymczasem zwolna wyciągał z kieszeni pożółkłe listy i pierścionek.

Hebdyński poznał to natychmiast, schwycił się za głowę i zawołał z rozdzierającym bólem:

— Panna Basia...? — i urwał wśród łkań.

Gordyk opuścił głowę i rzekł, jakby złamany przygnębieniem:

— Niestety...

— Umarła?

Gordyk milcząco skinął głową, a Hebdyński wybuchnął rzewnym płaczem...

Długo nie mógł się uspokoić. Po dłuższej chwili dopiero nieco ochłonął i zapytał:

— Umarła?... I pan przychodzi, aby...

— ... aby powiedzieć panu parę szczegółów. Przyszła do swej piastunki, jako do osoby najzupełniej zaufanej i tam... powiła dziecko...

— Dziecko? — zapytał przerażony oficer.

— Czy nie pisała panu o tem, że po wyjeździe pańskim z Krakowa... w jakiś czas później... poczuła się matką?...

— Nie dostałem od niej ani jednego listu. Więc biedaczka, umarła!... I pewno z myślą, że ja ją porzuciłem... że o niej zapomniałem... że jestem podły, niewierny, łotr!... — i znów zalał się łzami.

Poczem nagle przypomniał sobie coś i zapytał:

— A dziecko? Moje dziecko? Co się z niem stało? Gdzie ono jest?

Gordyk rzekł z obłudnym spokojem, snując dalszą sieć swego kłamstwa:

— Dziecinka, biedactwo, urodziła się nieżywa. A matka umarła parę godzin później. Wezwała mnie więc, abym panu pułkownikowi kiedyś to wszystko powiedział i owe pamiątki oddał. A że dowiedziałem się z gazet, że pan pułkownik jest w Legjonach, więc zaraz pośpieszyłem. Jako ostatnie słowa rzekła, że pana pułkownika kochała do ostatniej chwili i wybacza porzucenie jej...

— O, Boże, Boże miłosierny! — jęknął Hebdyński. — Więc myślała, biedaczka, że przestałem ją kochać?...

— Tak jest... I prosiła, żeby oddać to wszystko panu pułkownikowi... Listy zraszała łzami, jak to jeszcze widać, o... — pokazywał pułkownikowi ślady łez.

Hebdyński był u kresu rozpaczy. Szlochał, jak dziecko.

Gordyk wszakże mówił dalej:

— Jest jeszcze jedna ostatnia prośba. Kazała mi na wszystko błagać pana pułkownika, żeby pan był łaskaw nie pokazywać się nigdy więcej w Krakowie. Jej grzeszna miłość znana jest tylko piastunce, pani Toli — jej siostrze — i mnie. Skorzystała z wyjazdu ojca i ukryła przed nim swoją ciążę. Ponieważ wszakże to i owo przebąkiwano o panu i o niej, prosiła więc, aby dla uniknięcia podejrzeń, nawet pośmiertnych, pan był łaskaw nie pokazywać się w Krakowie. Gdyby pan nie spełnił jej ostatniej prośby, przeklęłaby pana z nieba, gdzie obecnie z pewnością już jest jej biedna duszyczka...

— Ślubuję, że spełnię jej ostatnie życzenie — rzekł uroczyście Hebdyński.

Ucałował owe pamiątki, które potem wypadły mu z drżących rąk... Padł na krzesło i tonął w łzach... Gordyk skorzystał ze sposobności i wysunął się chyłkiem... Hebdyński bynajmniej go nie zatrzymywał.

Dalszy ciąg jutro.

Czy znasz Warszawę, jej historję, życie w niej dawne i obecne?

Szumią bory na Marszałkowskiej!..

Czegośmy się dowiedzieli z dokumentów, ze wspomnień starych ludzi, z opowiadań naocznych świadków, z aktów sądowych, z tajnych raportów, z mnóstwa ciekawych książek, opisujących przeszłość i teraźniejszość stolicy Rzeczypospolitej — wszystko to będzie przedmiotem naszych opowiadań o Warszawie.

Ukaża się nam obrazy odległych czasów; poznamy tajemnice starych domów warszawskich, obok których przechodzimy codziennie, nawet nie przeczuwając ich dziwnej przeszłości.

Poznamy ludzi, którzy stąpali niegdyś temi samemi, co i my dzisiaj, ulicami, usłyszymy o ich czynach, pracach, zasługach i zbrodniach.

Ujrzymy Warszawę w owej epoce, kiedy jeszcze trawa rosła na miejscach, gdzie obecnie błyszczy asfaltowa jezdnia i kiedy zamiast regulującego ruch policjanta, siedział sobie pod drzewem pastuch, dozorujący bydła.

Będziemy obserwowali życie dworów królewskich i książęcych, oraz życie ubogich domków ludu roboczego.

Ujrzymy Warszawę w dniach zarazy morowej i Warszawę rozbawioną, beztroską, wesołą...

Nie zawahamy się wprowadzić czytelnika do izdebki staromiejskiego kata; nie zawahamy się przed opisem zwyczajów mętów społecznych.

Taki jest mniej więcej nasz program...

NIE BYŁO NAS, BYŁ LAS...

Przed niespełna tysiącem lat na terenie najruchliwszych dzisiaj ulic Warszawy szumiała puszcza, pełna olbrzymich 500-letnich dębów, prastarych lip i modrzewiów.

Podówczas zwyczajne drzewa miały niezwykłą objętość i rozłożystość. Bywały dęby, w których spróchniałem wnętrzu mógł nieraz jeździec czynić swobodne obroty konne. Niekiedy dęby dźwigały całe forteczki z rycerstwem, zbudowane wśród konarów.

Ścięte i użyte do kolosalnych maszyn wojennych burzyły one swym ogromem grube mury obleganych miast.

Obok żołędzi dębowych owocowały lasy ówczesne dzikiemi jabłkami, a zwłaszcza licznemi odmianami najróżnorodniejszych smacznych orzechów.

Zwierza było mnóstwo. W lasach Mazowsza (a więc na terenie Warszawy) pasły się spokojnie czarne, słoniowego ogromu tury, dalej żubry o szerokich łbach, pomiędzy rogami których mogło się zmieścić 3 ludzi.

Niedźwiedzie, dziki, łosie należały do najpospolitszej zwierzyny. Do wodopoju nad Wisłą schodziły o zachodzie słońca stada sarn. W zaroślach nadrzecznych legły się bobry, zaś w Wiśle, szerszej wówczas, znajdowała się taka obfitość ryb, jakiej sobie teraz niepodobna wcale wyobrazić.

SAWA

Wedle starodawnej legendy warszawskiej pierwszą istotą ludzką, która się tu osiedliła, była kobieta imieniem Sawa.

Zbudowała sobie lepiankę na górze, na której dziś wznosi się Stare Miasto, i żyła samotnie z oswojonym wilkiem, który towarzyszył dzielnej niewieście podczas łowów.

Gdzie dziś są ulice Brzozowa i Bugaj, wtedy płynęła Wisła i omywała swemi wodami stopy góry. Łożysko rzeki dopiero znacznie później cofnęło się ku Pradze, tak, że domek Sawy znajdował się nad samą wodą.

Kupcy wożący Wisłą towary zatrzymywali się tu i Sawa warzyła im strawę, a oni jej zato płacili.

Często zbliżając się do samotnej chatki, wędrowcy wołali: „Warz Sawa!".

Stąd powstała podobno nazwa późniejszej wsi Warzsawa, czyli Warszawa.

Opowiadają również o tej pierwszej „warszawiance", że była to kobieta olbrzymiego wzrostu i równie wielkiej siły. Była tak silna, że kładła żubra jednym ciosem swej pięści.

Tak głosi podanie; ile w tem wszystkiem prawdy — trudno dociec, bowiem nie dochowały się żadne jej świadectwa.

PIERWSI WARSZAWIACY

Wiemy natomiast na pewno, że pierwsi osiedleńcy warszawscy mieszkali na dzisiejszych Rybakach i trudnili się polowaniem oraz połowem ryb, skąd właśnie pochodzi nazwa tej najstarszej ulicy.

Wiadomo o nich poza tem nie zbyt wiele. Byli rośli, muskularni oraz odznaczali się niezwykłą gościnnością.

Na przyjmowanie gości, jak opisuje kronikarz — tak się sadzili, że nawet o gościnę nie trzeba ich było prosić, bo co z połowu ryb i zwierzyny zebrali, wszystkiem szczodrobliwie częstowali, sławiąc tego, kto marnotrawniejszy.

Gościnność wielu z nich ku kradzieży pchnęła, bo wedle ich praw, coś nocą ukradł, rano gościom rozdasz.

Gdy wśród nich kogo przydybano, że obcego z gościny oddalił — tego dom spalić było wolno, a majątek zniszczyć.

Sławni byli ze swego doświadczenia w przebywaniu rzek. Napadnięci lub zaskoczeni przez nieprzyjaciela chowali się pod powierzchnię wody. Trzymając w ustach długie trzciny wewnątrz puste, w ten sposób całemi godzinami oddychali.

POCZĄTKI WARSZAWY

Pierwsze ślady istnienia Warszawy pochodzą z roku 1234, a więc akurat z przed 700 lat.

Warszawa była wówczas małą osadą i posiadała o wiele mniejsze znaczenie od takiego naprzykład miasta, jakiem było wówczas stołeczne miasto Sochaczew lub Czersk, ówczesne siedziby książąt Mazowieckich.

Życie warszawskie skupiało się wtedy na Solcu, najstarszym obok Rybaków punkcie naszego miasta.

DZISIEJSZE ULICE PRZED 700 LATY

Dalej już ciągnęły się wytrzebione w znacznej części w XIII wieku lasy i moczary.

Zwłaszcza bagnisk było najwięcej. Dzisiejsza ulica Żelazna stanowiła wówczas podłużne wzgórze.

Kiedy wiosną topniały śniegi, spływające z grzbietu owego wzgórza wody tworzyły bagniska, których ślad pozostał do dnia dzisiejszego w nazwach ulic: Bagno, Gnojna, Żabia.

Tam, gdzie teraz znajduje się Cytadela wpadała do Wisły rzeczka Drna, mająca swe źródło na ulicy Dzielnej; tworzyła ona po drodze liczne jeziorka i stawy i stąd właśnie pochodzi nazwa ulicy Stawki. Jeszcze w roku 1770 było 16 stawów na tej rzeczce.

Całą okolicę dzisiejszego dworca Głównego zajmowały mokradła nie do przebrnięcia.

Ulice Tamka i Obożna były łożyskami strumieni. Na Bugaju były Bagna.

Tylko tam, gdzie obecnie biegnie ulica Długa i Świętojerska rósł suchy las. Tam też najchętniej polowali książęta na grubego zwierza.

ŁOWY

Gruby zwierz w kniei poczytywany był wyłącznie za własność książęcą. Książęta utrzymywali specjalne wojska myśliwych. Rzeźnicy musieli dostarczać łbów bydlęcych dla psów watrób dla sokołów.

Całe osady szły z przymusu na obławę. Tak wszędzie wspierani, wszędzie podejmowani, przeciągali myśliwi z psami, licznym arsenałem sieci, pęt, wideł, oszczepów, łuków przez kilkudziesięciomilowe puszcze.

Pędzili życie swobodne, pełne przygód i powabu. Owoce trudów myśliwskich przynosiły wieloraki pożytek.

Solona w beczkach lub wędzona zwierzyna wędrowała okrętami za morze. Szynki pobierano nieraz jako podatek. Niektóre opłaty sądowe opłacało się tylko w kożuchach.

Oprócz rabanych sztuk srebra nie znano innej monety jak główki popielicze i kunie czyli tak zwane „łebki i mordki".

To też tępiono zwierzynę masowo, aż ją wytrzebiono zupełnie.

HISTORJA KROCZY NAPRZÓD

Tak więc miejscowość stawała się coraz bardziej cywilizowana.

Ludności przybywało z roku na rok, lasy ginęły pod uderzeniami siekier, teren miasta rozrastał się.

W roku 1339 odbyła się w Warszawie pierwsza konferencja polityczna z Niemcami. Król Kazimierz Wielki podpisał tu układ z Krzyżakami.

Warszawa miała już podówczas zamek obronny i mur biegnący dokoła miasta.

Miała już rzemieślników i kupców, stała się ważnym punktem handlowym, położonym na skrzyżowaniu dróg lądowych i wodnych.

Wraz z rozwojem miasta spadły na ludność straszne klęski, poczęły dziać się rzeczy mrożące krew w żyłach dzisiejszego człowieka...

Rozpoczęła się 600 letnia historja miasta, równie barwna i piękna jak straszna i ponura...

Ofiara nazwiska

(S. F.) — Sprawa Azorka — wywołał sędzia.

Na ławach dla publiczności zaczęto się rozglądać w nadziei, że wybiegnie jakiś piesek. Do pulpitu jednak dla oskarżonych zbliżył się kędzierzawy młodzieniec.

— Pan jest Symcha Azorek?

— Ja, panie sędzio! Się śmiesznie nazywam, co? To jest wszystko wina mojego dziadka. On się nazywał Tchórz. Jankiel Tchórz. I z niego się wszyscy śmieli i nikt go się nie bał.

To pewnego razu on się zdenerwował i złożył podanie, żeby mu zmienić nazwisko.

Dwa dni myślał, jakie sobie zrobić nazwisko, żeby się go bali. I wybrał Azorek.

Rzeczywiście pomogło. Jak tylko ktoś krzyknął „leci Azorek", to wszyscy uciekali, bo myśleli, że jakiś zły pies.

Mój ojciec to miał później przez to nazwisko przykrości. Ktoś nagadał w Magistracie i przysłali nakaz, żeby ojciec sobie wykupił psi numerek.

I ojciec musiał złożyć podanie, że on nie jest pies, że on nigdy nikogo nie ugryzł i że nawet szczekać nie umie.

— Ale pan zato gryzie — przerwał przemówienie p. Symchy sędzia. — Jest pan oskarżony o pogryzienie Wolfa Sznejmana. Przyznaje się pan do winy?.

— Owszem. To było tak. Ten pan jest mój sąsiad. I na złość mnie kupił sobie psa i go nazywał Azorek. Jak ja tylko wychodzę na podwórko, to on zaczyna krzyczeć przez okno:

— Azorek, do nogi! Azorek pódź tu!

Wszyscy się w kamienicy ze mnie śmieją. Dzieci nawet krzyczą: „Azorek, chcesz kiełbasę?"

To pewnego razu jak pan Sznejman znów krzyknął „Azorek do nogi", ja się naprawdę zrobiłem wściekły pies. Mnie piana wyszła na pysk, zacząłem szczekać i ugryzłem tak tego pana w łydkę, że potem przez tydzień plułem.

Sąd, biorąc pod uwagę, że p. Azorek został sprowokowany, skazał go tylko na 30 zł. grzywny.

Kwiecień
15
NIEDZIELA
Anastazji

KRONIKA KRAKOWA

Ze sportu

Dzisiejszy terminarz zawodów piłkarskich

Dzisiejsze zawody piłkarskie na terenie Krakowa o mistrzostwo w poszczególnych klasach zapowiadają się niezwykle interesująco. Na pierwszy plan wybijają się zawody Grzegórzecki K. S. ze Zwierzynieckim K. S. Obie te drużyny znane są ze swej ambitnej i przebojowej gry i stoją mniejwięcej na jednym poziomie. Niemniej ciekawe spotkanie odbędzie się pomiędzy mistrzem okręgu Olsząa robotniczą drużyną Legji. Obie te drużyny wystąpią w pełnych składach, to też spodziewać się należy ładnej i ambitnej gry.

Na dalszy plan w klasie A, wybijają się zawody Korona—Wawel. Spotkanie to zapowiada się interesująco gdyż Korona obecnie po odmłodzeniu swej drużyny, znajduje się w doskonałej formie dowodem tego jest pokonanie w ub. niedzielę mistrza okręgu Olszy w stosunku 3 1. Wawel natomiast jest drużyną bojową, to też wynik tego spotkania stoi pod znakiem zapytania.

Rownież należy wspomnieć o zawodach Makkabi która spotka się z benjaminkiem klasy A Krowodrzą. Krowodrza znana jest ze swej twardości i ambitnej gry, to też Makkabi musi dołożyć wszelkich starań by z zawodów tych wyjść z honorem.

W klasie B. na pierwszy plan wybijają się spotkania:
Orlęta—Z. F. G., Patria—Sparta i Łobzowianka—Hakadur.

W klasie C. Zakrzowianka—Legjon, i Wolanka—Maraton.

Szczegółowy program dzisiejszych spotkań piłkarskich przedstawia się następująco:

Klasa A.

Godz. 10.30 boisko Cracovi: Cracovia I. b.—Wisła I. b. Sędzia Lieberman. Godz. 11 boisko Korony: Korona Wawel. Sędzia Gumplowicz. G. 15.30 boisko Wisły. Zwierzyniecki—Grzegórzecki Sędzia Schimscheiner. G. 16 boisko Olszy Olsza—Legja Sędzia Stopa G. 1610 boisko Makkabi Makkabi—Krowodrza Sędzia Hetper.

Klasa B.

G. 9'15 boisko Legji, Orlęta—Z.F.G. sędzia Filipkiewicz. G. 10. boisko Olszy, Jutrzenka—Prądniczanka, sędzia Bloch. Godz. 10'45 boisko Wieliczanki, Wieliczanka—Kabel, sędzia Censor. G. 11. boisko Makkabi, Nadwiślan—Polonia, sędzia Haber. G. 11 boisko Podchorążówki, Łobzowianka—Hakadur, sędzia Huppert. G. 15'30 boisko 2 p. lotn. Rakowiczanka—Skawinka sędzia Hirsch. G. 15.30 boisko Legji, Patria—Sparta sędzia Kochanek. G. 15 45 boisko Łagiewianki, Łagiewianka—Hagibor, sędzia Seidner II. G. 16.15 boisko Bieżanowianki, Bieżanowianka—Bocheński, Herman 2.

Klasa C.

G. 10 boisko Z. F. G, Wolanka—Maraton, sędzia dr Huczyński. Godz. 11 boisko Legji. Velania—Nowowiejski, sędzia Landesdorfer, G. 11'15 boisko Warny, Warna—Gwiazda s. Sadzik. G. 14 boisko Olszy Z. T. S.—Tonianka sędzia Nowak. G. 15'30 boisko Korony Zakrzowianka—Legja sędzia Gredzicki G. 15.30 boisko Dąbia Dąbie—Tor sędzia Wojtas.

Towarzyskie.

G. 9'30 boisko Garbarni, Garbarnia II—Legja II sędzia Niedziołek. G. 11. boisko Garbarni, Garbarnia III.—Sparta II sędzia Fryc. G. 14.30 boisko Makkabi, Makkabi II—Krowodrza II sędzia Pryk. G. 15.30 boisko Borku, Borek—Garbarnia Ib, sędzia Jakubik. G. 15.30 boisko Trzebini, Trzebinia—Czarni Sędzia Dr. Czarnecki. G 16 boisko Salwator Salwator—Nadwiślan II sędzia Gruner.

Z działalności Z. Z. Z. Użyt. Publ. Miejsk.

Z. Z. Z. Użyt. Publ. Miejsk. podaje do wiadomości, że w każdy czwartek o godzinie 18-ej (punktualnie) P. Dr. Szymański wygłasza krótkie prelekcje p. t. „Tygodniowy przegląd polityczny". Ze względu na ciekawy i ważny temat Zarząd Związku zachęca do korzystania z tych prelekcji. Odbywają się one w Świetlicy głównej Związku przy ul. Pawiej 3 II-gie piętro.

Ostre starcie obrońcy mordercy z prokuratorem

Trzeci dzień sensacyjnej rozprawy o morderstwo w Przywozie przyniósł na wstępie ostre starcie między obrońcą osk. Olejniczaka, adw. Rappaportem a oskarżycielem publicznym, prok. drem Boryczką. Otrzymawszy głos od przewodniczącego, obrońca mordercy złożył następujące oświadczenie:

„Proszę Wysokiego Sądu! Ja tutaj walczę o życie młodego człowieka. Wczoraj pan prokurator zadał tyle agresywnych i drobnych pytań, że ja sam nie mógłbym ich pamiętać. P. prok. zarzucał osk. kradzieże, robił go złodziejem, ale tego nie udowadniał. Proszę więc o równe prawo dla mnie".

W odpowiedzi na to prok. Boryczko udowodnił, że nie chodzi o życie oskarżonego, albowiem wtedy. gdy popełnił swą zbrodnię, obowiązywała ustawa o sądach doraźnych. Osk. przyznał się do zabójstwa, przeto prok. mógł i miał prawo postawienia mordercy przed sądem doraźnym. Następnie w kwestji agresywnych pytań, prok. Boryczko powiedział:

„Osk. twierdzi, że zabił pod wpływem obelgi. A więc jedno obraźliwe słowo doprowadziło go do takiego szału, że chwycił nóż i zamordował przyjaciela. Otóż ja zadałem mu szereg pytań i wykazałem, że jest oszustem i złodziejem, a on nie wpadł w szał, tylko uśmiechał się ironicznie. Widziałem więc tylko zdenerwowanie, a nic więcej i przekonałem się, że osk. był zdolny do dokonania tej zbrodni, o jaką jest oskarżony".

Skolei przewodniczący sędzia Pilarski stwierdził, że obrońca ma takie same prawa, jak oskarżyciel, wobec czego po tym incydencie obrońca przystąpił do zadawania pytań oskarżonemu. W odpowiedzi osk. Olejniczak wyjaśnił, że nigdy nie wydalono go z seminarjum duchownego, oraz że tasaka nigdy nie kupował, ani też nie zabierał.

W tem miejscu znów zabrał głos prokurator, mówiąc: „Przecież o tasak zupełnie nie pytałem, a osk, mówi, że tasakiem nie mordował, przeto obojętne jest, czy tasak wisiał, czy leżał".

Obrońca miesza się i cofa pytania, odnoszące się do tasaka, poczem prosi, aby osk. pozwolono włożyć płaszcz na siebie i wziąć tasak do kieszeni. Panowie biegli bowiem wykazali, że ś. p. Lechowicz zginął od tasaka lub siekiery i szabli, a zatem moim obowiązkiem, jest wykazanie, że osk. nie miał przy sobie nic takiego".

Wnioskowi temu odmówiono, przeto obrońca prosił o wizję lokalną w mieszkaniu, w którem wisiał ów tasak. Temu znowu sprzeciwił się prokurator, Trybunał zaś postanowił wydać później decyzję, a rówocześnie zarządzono postawienie jeszcze jednego posterunkowego przy oskarżonym, który chwilami zrywał się z miejsca, energicznie występując przeciw prokuratorowi.

Dalsze pytania obrońcy nie wniosły nic nowego do sprawy, poczem znów prokurator zadawał pytania i na tem zamknięto przesłuchiwanie oskarżonego.

Nieudała kradzież mundurów policyjnych

W dn. 8 lipca 1933 r. na krakowski dworzec towarowy przywieziono w zaplombowanym wagonie transport granatowego sukna na mundury policyjne. Wagon ten odstawiono na boczny tor koło magazynów, o czem jednak zdołali dowiedzieć się znani złodzieje kolejowi: Ignacy Kutas i Jan Bróg. Włamywacze przeto, dobrawszy sobie do pomocy kochankę swą, niejaką Stanisławę Gębalównę, postanowili wykonać „skok" na tak cenny łup.

Nocą zatem zakradli się na teren dworca i włamali się do wagonu, z którego wyrzucili na tor 6 dużych zwojów sukna, które ukryli pod wagonem. Następnie poszli do domu i nad ranem wrócili z workami, aby do nich zapakować łup.

Tym razem jednak spotkali się ze stróżem kolejowym, Miśtakiem przed którym zaczęli udawać, że oglądają sąsiednie parcele, celem kupna. Wybieg ten nie udał się złodziejom tembardziej, że mieli z sobą worki.

Aresztowano ich przeto i odstawiono do komisarjatu, a w toku dochodzeń policyjnych wyszło na jaw, że trójka ta stanowi zawodową szajkę „speców" od kradzieży kolejowych.

Epilog tej nieudałej wyprawy po sukno na mundury policyjne rozegrał się onegdaj przed Sądem karnym w Krakowie. Na podstawie przewodu sądowego, skazano osk. Ignacego Kutasa na rok i 8 miesięcy, osk. Jana Broga na rok i 6 miesięcy, a osk. Stanisławę Gębalównę na 8 miesięcy więzienia. Ponieważ jednak ta ostatnia odcierpiała karę w więzieniu śledczem, przeto wypuszczono ją na wolność.

Rozprawę prowadził s. o. dr. Traczewski, oskarżał prok. dr Topiński, oskarżonych włamywaczy bronili adw. dr Abeles i dr. Rothwein, a osk. Gębalównę adw. dr. Norbert Knoebel.

Ubezpieczalnia Społ. wysyła dzieci na kolonje letnie

Ubezpieczalnia Społeczna w Krakowie zamierza w bież. roku wysłać około 450 dzieci na kolonje letnie lecznicze i wypoczynkowe.

Naskutek zarządzenia władz, wszystkie dzieci, jadące na kolonje, muszą wykazać się poświadczeniem szczepień przeciw dyfterji i szkarlatynie. Szczepienia takie dzieci w wieku szkolnym przeprowadza gmina miasta Krakowa w szkołach. Dzieci szczepione w r. 1933 przedkładające poświadczenie dokonanych szczepień, nie będą w roku bież. szczepione.

Podania o przyjęcie dzieci na kolonje Ubezp. Społ. należy wnosić do dnia 30 kwietnia br. Podania wniesione po tym terminie będą brane w rachubę jedynie w razie niewykorzystania ustalonego kontygentu. Pierwszeństwo w otrzymaniu wyjazdu mają dzieci najbardziej wątłe, żyjące w złych warunkach gospodarczych i mieszkaniowych.

Sprytne oszustki okradły wieśniaczkę

Ofiarą sprytnych oszustek padła wczoraj w Krakowie niejaka Franciszka Wilkowa zam. w Skale, w pow. olkuskim. Oto w południe, gdy Wilkowa przechodziła ulicą Długą obok nowego placu targowego, jakaś nieznana kobieta podniosła obok Wilkowej papier, mówiąc przytem do Wilkowej, że znalazła pieniądze.

Wieśniaczka usłyszawszy to, przystanęła, a wtedy nieznajoma poprosiła ją do pobliskiej bramy rzekomo celem podzielenia się z nią znalezionemi pieniądzmi.

Gdy obie znalazły się w bramie, nadeszła druga kobieta, która oświadczyła, że to ona właśnie zgubiła te pieniądze. Wilkowa wyjęła spod pachy swoje pieniądze w kwocie 24 zł. i pokazała tej kobiecie, udowadniając, że to jej własne pieniądze. Nieznajoma wzięła pieniądze Wilkowej do ręki, poczem zwróciła je przepraszając za pomyłkę, poczem obie nieznajome szybko odeszły.

Wilkowa wówczas przekonała się, że okradziono ją podstępem, albowiem w zawiniątku swem, zamiast pieniędzy, znalazła skrawki papieru. Pieniądze natomiast padły łupem złodziejek, których teraz poszukuje policja.

Magazyn złodziejski przy ul. Wieczystej

Wczoraj w ręce krakowskiej policji wpadł niebezpieczny złodziej i włamywacz, 30 letni Wł. Dudzik, zam. przy ul. Wieczystej 213. W mieszkaniu włamywacza odkryto istny skład skradzionych towarów, wart. kilku tys. zł. Nadto znaleziono u niego ucięty karabin austr., dwa świdry korbowe, oraz sporo narzędzi służących do włamania.

Żołnierz rzucił się pod pociąg

Wstrząsający wypadek samobójstwa zdarzył się ubiegłej nocy na stacji kolejowej Kraków-Dąbie. Mianowicie w krytycznym czasie pod rozpędzony pociąg rzucił się 28-letni Władysław Kmiecik, szeregowiec K. O. P. Nieszczęśliwy desperat poniósł śmierć na miejscu. Przyczyny samobójstwa nie ustalono.

Repertuar teatrów krakowskich

Teatr im. J. Słowackiego
Niedziela pop. „Rodzina", wiecz. „Królewska rodzina"

Teatr Żydowski, Bocheńska 7
Gościnny występ Witlera.
Niedziela „Galicyjskie wesele"

Co grają w kinach krakowskich?

Adria: „Dziś żyjemy" i „Profesor w Kabaracie".
Apollo: Casanova"
Atlantic: „Papryka"
Bagatela: „Człowiek-lew"
Dom Żołnierza: „Kaprys madame Pompadur"
Muzeum: „Król włóczęgów"
Promień: „Uśmiech szczęścia"
Słonko: „Serce Olbrzyma"
Sztuka: „Pieśniarz Warszawy"
Świt: „Wiedeńska krew"
Wanda: „Królowa Krystyna"

RADJO

Kraków. Godz. 9 Audycja poranna 10.30 Nabożeństwo, 11.57 Hejnał, 12.15 Poranek muzyczny, 14 Pogadanki, 14.30 Gramofon, 15 „Gawędy podhalańskie" 15.20 Koncert, 16 Słuchowisko dla dzieci, 16.45 Kwadrans literacki, 17 Pogadanka, 17.15 Koncert, 18 Słuchowisko z Warszawy, 18.40 Recital skrzypcowy, 19.05 Rozmaitości, 19.15 Odczyt. 19.30 Radjotygodnik dla młodzieży, 19.52 Muzyka, 20.50 Dziennik wieczorny, 21 Feljeton. 21.15 Na wesołej fali lwowskiej, 22,15 Wiadomości sportowe, 22 25 Muzyka, 23 Wiadomości meteor.

Nocny i dzienny dyżur aptek

Apteka pod Złotym Tygrysem Szczepańska 1, pod Aniołem Stróżem Kościuszki 18, pod Temidą Długa 66, pod Barankiem Mikołajska 4, Niebieska Starowiślna 77.
Podgórze pod Koroną Rynek 9.

Dzienny dyżur aptek:

Apteka pod Złotym Słoniem Grodzka 22, pod Jagiełłą Pl. Matejki 3, Nowowiejska Wybickiego 1, pod Trzema Gwiazdami Rakowicka 12, Sternbacha Dietla 36.
Podgórze pod Koroną Rynek 9.

Dzienne dyżury lekarskie:

Dr Bobrzyński Wł. Stradom 3 149-78, dr Braun Bronisław Bracka 10, 166-66, dr Jurkowicz Ign. Wrzesińska 9 134 80, dr Godłowski Zbigniew, Kanonicza 6 182-22.

Nocne dyżury lekarskie:

Dr Baranowski Włodz. Tatarska 11, dr Horowitz Maks. Jasna 7, dr Szancer Henryk Starowiślna 60 129-47. dr Zozoth Artur Rynek Kleparski 5 102-19.

Złodziejki z Będzina okradały sklepy krakowskie

Mieszkające stale w Będzinie znane i niebezpieczne złodziejki: A. Michalska, M. Gawędowa, St. Pitułowa i J. Brożkowa tworzyły od pewnego czasu niesłychanie bezczelną szajkę. Złodziejki te bowiem, należące do „elity" międzynarodowej przestępnego świata, przyjeżdżały do Krakowa, rzekomo celem odwiedzin lekarzy i adwokatów. W rzeczywistości jednak złodziejki te dokonywały w krakowskich sklepach kradzieży w sposób tak dalece sprytny, że poszkodowani w większości wypadków nie wiedzieli o kradzieżach. Wyrafinowane bowiem złodziejki stosowały przytem wszelkie możliwe wybiegi do tego stopnia, że przebierały się i charakteryzowały na wiejskie kobiety, by w ten sposób ujść czujności policji. Dlatego też przez długi czas były nieuchwytne, przyczem „siedzibą" ich chwilową i punktem zbornym był szynk Fassa w Rynku Kleparskim.

Wreszcie jednak powinęły się im nogi na kradzieżach, dokonanych w znanych firmach: „Paw" i Türkel przy ul. Florjańskiej. Złodziejki schwytano w ub. miesiącu, a onegdaj odpowiadały za swe przestępstwa przed Sądem karnym w Krakowie.

W wyniku rozprawy skazane zostały na kary od 6 mies. do półtora roku więzienia.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Kraków ul. Na Gródku 2 — Telefon 173-02 (od godz. 8—11 w poł.)
CENY OGŁOSZEŃ: w Kronice krakowskiej cała strona 800 zł., pół strony 500 zł. 1 wiersz mm. 50 gr. Drobne 15 gr. za wyraz.
Odpowiedzialny redaktor i wydawca: Alfred Kwiatkowski. Drukarnia Monopol. Kraków, Na Gródku 2.